Malcolm Jameson

Potwór z kosmosu

(The Monster Out of Space)

Amazing Stories, July 1940
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the novelette "The Monster Out of Space" by Malcolm Jameson.
This etext was produced from Amazing Stories, July 1940.
Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

I

— **H**ej, ludzie! Złapać się czegoś i mocno trzymać. Obracam to stare pudło ogonem do przodu i hamuję!

Bob Tallen wyłączył buczek alarmu, odsunął od siebie mikrofon komunikatora wewnętrznego i dźgnął palcem klawisz zapłonu silnika manewrowego.

Zanim odpaliły rakiety, okręcił się dwukrotnie pasem uprzęży i złapał się mocno szelek. Nagłe hamowania były dla niego najprzyjemniejszymi chwilami dnia roboczego. Leżał sobie z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami, a ze znajdującego się zaraz za nim przedziału laboratoryjnego, dolatywały odgłosy zamieszania. Brzęk tłukącego się szkła zagłuszał nawet drgania plującego ogniem silnika rakietowego.

Dobrze utrzymany, niewielki *Sprite* zadrżał, a potem wierzgnął. Powoli i mocno dygocząc, zaczął wykonywać obrót. Mały, delikatny jacht Favy Dithrell nieczęsto doświadczał na swojej przepustnicy twardej i zdecydowanej dłoni Strażnika Kosmosu. Statek przyzwyczajony był do łagodniejszego traktowania.

— Bob! Co się stało?

To sama Fava z trudem przedostała się do sterówki, przeciągając się przy pomocy metalowych uchwytów korytarza tył-przód. Za nią zajrzał niepewnie Walter Berol, ciężko sapiąc i ociekając jakimś rdzawym szlamem. Oboje sprawiali wrażenie wystraszonych, a Berol dodatkowo wyglądał na oszołomionego.

— Przed nami widać bałwany fal — oznajmił Tallen, — a jakiś kapuściany łeb z latarni zapomniał naładować jej nadajnik, albo ktoś ją obrobił, czy walnął w nią meteor. W każdym razie, pomyślałem, że trzeba się zatrzymać i trochę rozejrzeć.

— A…ale… dlaczego tak nagle? — poskarżył się Berol, spoglądając żałośnie na swoją zniszczoną bluzę roboczą. — Ja… ja… to jest, my…

— Tak nagła jest moja natura — pogodnie odparł Bob, odrobinę wysuwając szczękę. — Sytuacja wymagała zatrzymania się, więc się zatrzymałem. I to wszystko.

— Och — stwierdził Berol.

— Walter pokazywał mi jak korzystać z laboratorium, które dla mnie przygotował — wyjaśniła Fava z lekkim rumieńcem na twarzy. — Oglądaliśmy właśnie kulturę vermes horridons, tych paskudnych szkodników, które zaatakowały plantacje Taty na Titanii. Rozlałeś je po całym pomieszczeniu, kiedy tak się obróciłeś!

— Trudno — skomentował Tallen, obserwując mimochodem pulsującą czerwoną lampkę na pulpicie sterowniczym. Wskazywała ona, że niedaleko przed nimi znajduje się ciało niebieskie znacznej wielkości. — Sądziłem, że on potrafi o siebie zadbać. Jest przecież równie dużym chłopcem jak ja.

— Och, już łapię — powiedział Berol z dobrodusznym śmiechem. — Wielki, paskudny jaskiniowiec siedział tutaj zupełnie sam i pomyślał sobie, że to dobra chwila, aby ściągnąć na siebie uwagę.

— Chłopcy! Chłopcy! — zaprotestowała Fava. — Nie psujcie naszych wakacji. Zachowujecie się jak para dzieciaków.

Berol szeroko się uśmiechnął.

Tallen również się roześmiał:

— A co, u licha – nic tak nie rozgrzewa przyjęcia, jak odrobina niebezpieczeństwa. Wskakujcie w skafandry kosmiczne, Fav, zaraz jak tylko ustawię statek koło tej skały, urządzimy sobie przechadzkę. Zobaczymy co to jest.

Fava z rozdrażnieniem tupnęła nogą, ale w jej ognistych czarnych oczach, widać było błysk. Czuła się mile połechtana przyjazną rywalizacją obu swych konkurentów. Obydwu ogromnie lubiła, nawet jeśli byli tak odmienni, jak dwa przeciwstawne bieguny.

Bob Tallen – komandor Tallen ze Straży Kosmicznej – był odważny, dynamiczny i zdolny. Zdobył już wszelkie możliwe odznaczenia, jakie mogła przyznać Rada Systemowa. Uporałby się nawet gołymi rękoma ze stadem marsjańskich felizaurów, gdyby zagroziły one Favie, i nigdy nie zastanawiał się dwa razy, kiedy musiał coś zrobić. Lubiła go za szybkość decyzji i śmiałość.

Walter Berol – dla świata doktor Berol, dyrektor Instytutu Biologii – był bez wątpienia znacznie mądrzejszy, ale prześladowała go nieuleczalna nieśmiałość, która niemal zniszczyła całą jego karierę. A jednak, mając wystarczająco dużo czasu, potrafił rozwiązać każdy problem. Ponadto był rozważny i miał poczucie humoru, czyniące go dobrym kompanem w każdym towarzystwie. Był solidnym człowiekiem, nawet jeśli nie błyskotliwym.

Kiedy Tallen włączył dwa kolejne silniki, Fava poczuła, że statek przechyla się. Płyta wizyjna rozjaśniła się i pojawił się na niej dziwny obiekt.

— Niech mnie diabli — wymruczał Tallen, wodząc wzrokiem od „Spisu Asteroidów" do płyty wizyjnej i z powrotem. — Posłuchajcie tylko tego.

I odczytał:

— Planetoida ta znana jest jako Kellog 218 i jest żelaznym ciałem w kształcie trumny, z pewną ilością kwarcowych inkluzji. Zainstalowana na niej została radiolatarnia, Klasy R-41. Jej okres…

— Powiedziałabym raczej, że w kształcie gruszki — zauważyła Fava. — Wygląda całkiem zabawnie, co nie?

— Bardziej przypomina zgniły melon, nadziany na żelazny słupek — stwierdził Berol.

— A z tego końca – tam gdzie jest ta różowa, gąbczasta masa — zawołała z narastającą ekscytacją Fava, — zdaje się być porośnięta wysoką trawą!

— Tak — potwierdził Berol, przyglądając się uważnie. — Wygląda, jakby falowała – jak gdyby pod wpływem podmuchu wiatru!

— Nonsens — warknął Bob Tallen, wpatrując się w ekran wizyjny. — Skąd na takim kamieniu miałby wziąć się wiatr – i czy gdzieś poza orbitą Marsa widzieliście trawę?

To, co zobaczyli na płycie wizyjnej, faktycznie było bardzo dziwne – jeden z końców planetoidy Kelloga wydawała się pokrywać skręcająca się zakalcowata masa. I nigdzie nie było widać latarni.

— Uważajcie! — zawołał Tallen. — Ląduję.

*****

Kiedy Walter Berol i Fava pokonali już spory odcinek drogi do pierwszego z zakalcowatych tarasów, zdumieni byli jak inaczej on wyglądał, niż wtedy gdy oglądali go ze statku. To, co wydawało im się gąbczastą substancją, okazało się twardą, ale poddającą się naciskowi okrywą, przypominającą skórę.

Falująca trawa, po bliższym przyjrzeniu, zmieniła się w kępy nagich łodyg z tego samego brudno-różowego materiału co reszta, sterczące jak dzikie bambusy. A jednak wzrok nie do końca ich oszukał. Trawy rzeczywiście się poruszały, łagodnie falując jak liście olbrzymich wodorostów w ziemskich oceanach.

— Jak myślisz, co to jest? — nagle spytała Fava, spoglądając pod nogi, kiedy dwójka ludzi przeszła kawałek między dwoma rzędami dziwnych kęp. U stóp dziewczyny pełno było porozrzucanych po całej drodze, małych, szkarłatnych gałek, wyglądających jak na wpół zagrzebane w ziemi pomidory.

— Wyglądają na miękkie — stwierdziła Fava i kopnęła jeden z nich czubkiem buta.

Natychmiast potem wrzasnęła tak ostro, że Berol poczuł oszołomienie. Najbliższa kępa obudziła się do życia z zaskakującą szybkością. Wężowata antena strzeliła w dół jak zakrzywiająca się łabędzia szyja i otoczyła Favę swymi zwojami. Sparaliżowany przez szybkość i nagłość ataku, Berol wpatrywał się tępo, jak macający koniuszek wykonał kolejne dwa skręty i skradał się w dół, aby owinąć nogę dziewczyny.

Berol zaczął gmerać przy pasie, szukając podręcznego toporka i wrzasnął ochryple na Boba Tallena. Tallen nie mógł być daleko.

Zanim Berol zdołał wyszarpnąć toporek, usłyszał jak Fava charczy usiłując złapać powietrze. Miażdżący nacisk macki odciął jej oddech. Ze zgrozą zobaczył, że dziewczyna unosi się do góry i spostrzegł, jak kilka stóp z tyłu otwiera się ziejąca purpurowa szczelina.

Być może Berola nie cechowała aż tak gorąca krew, ale zaatakował mackę ściskającą dziewczynę, z całą furią, na jaką mógł się zdobyć. Pierwsze uderzenie odbiło się tak gwałtownie, że toporek niemal wyleciał mu z ręki, ale zadawał ciosy bez przerwy, raz za razem. Zobaczył jak na macce pojawiają się niewielkie zadrapania, z których sączy się lepki płyn, bryzgając na wszystkie strony. Na wpół oślepiony przez łzy bezsilnej wściekłości i pot, nie przestawał uderzać.

Wtem zorientował się, że nie może unieść ręki i poczuł na ramionach chłośnięcie czymś ciężkim. Płyta przyłbicy hełmu zaszła mu mgłą, nic więc nie widział, ale poczuł ohydne obmacywanie pod pachami, a następnie zimny, miażdżący żebra ucisk kolejnego straszliwego wąsa, który go pochwycił. Miał tylko czas zawołać jeszcze raz:

— Na pomoc, Bob… Fava… Bob…

A potem zemdlał.

— **D**ochodzi do siebie.

Był to głos Boba Tallena, dolatujący jakby przez krwawą mgłę. Berol zdawał sobie sprawę, z cudownej dostępności powietrza, że musiał zostać wyciągnięty ze skafandra. A więc, znajduje się na statku. Poruszył się, otworzył oczy i zobaczył pochyloną nad sobą Favę, przyglądającą mu się z niepokojem. Potem wszystko sobie przypomniał – te oplatające go, miażdżące, okrutne macki; i paskudną, klejącą krew bestii – rozwierającej paszczę, czekającej, szlamowatej i obrzydliwej. Berol wzdrygnął się. Ale Fava była bezpieczna!

— Wszystko w porządku, stary — usłyszał uspokajający głos Tallena. — Dostało ci się dosyć poważnie, ale teraz już wszystko skończone. Za jakąś godzinę wylądujemy w Lunar Base, a tam czeka już na nas ambulans. Za parę tygodni będziesz zdrów jak ryba.

— To… stworzenie… było… organiczne — zdołał powiedzieć Berol. — Czy… ty…

— Zapomnij o tym — odparł Tallen. — Kosmos jest pełen dziwacznych potworów. Tego konkretnie, spaliłem do cna swoim pistoletem ogniowym i to wszystko. Ośmielę się twierdzić, że na tej skale wręcz roiło się od nich, ale mniejsza z tym. Obecnie zostały już dwa miliony mil za nami.

Berol próbował o tym zapomnieć, ale nie mógł. Nie mógł zapomnieć, że był u boku Favy kiedy groziło jej niebezpieczeństwo, i zawiódł. To Tallen spalił potwora – niezależnie od tego, czy było to zwierzę, roślina, czy jakaś ohydna hybryda.

Rozmyślał więc o tym, gryząc się w pokoju wielkiego szpitala w Lunar Base, wiedząc że Bob Tallen nie marnuje czasu. Tallen także ciągle był w bazie, wyposażając nowy krążownik *Syriusz*, którym dowodził. Ale wieczory miał wolne i spędzał je w towarzystwie Favy…

— Jesteś kochanym, słodkim chłopcem i mam dla ciebie wiele uczucia — powiedziała Fava Berolowi, kiedy wychodziła z nim ze szpitala, w dniu w którym został wypisany. Szli do wyrzutni startowych, żeby zobaczyć jak Bob Tallen wyrusza w podróż próbną swym nowym statkiem. — Ale mężczyzna, za którego wyjdę musi być pomysłowy, pewny siebie. Bardzo mi przykro. Nie chciałabym cię zranić… ale…

— A więc, to ma być Bob?

Skinęła głową i nagle świat wydał mu się bardzo pusty. Niemal zupełnie opanowało go poczucie braku własnej wartości. Tak, miała rację. Nie miał wielu żywotnych cech, które tak podziwiała w Bobie Tallenie. Nie pasował na jej męża.

Nagle jednak poczuł napływ odmiennych emocji. Był to odwieczny, prymitywny popęd – równie dawny jak rasa ludzka – mężczyzny odrzuconego przez kochaną kobietę. Musiał ją zdobyć, Tallen, nie Tallen.

— Nie wyjdziesz za Boba — powiedział sobie po cichu Walter Berol.

II
Kosmiczny potwór

Głos Favy był naglący, wyraźnie wystraszony.

— Natychmiast przyjeżdżaj do Kwatery Głównej! Tak się boję… o Boba.

Walter Berol tylko przez chwilę stał na lądowisku nad swym wielkim laboratorium, zanim wsiadł do żyrokoptera, ale tę właśnie chwilę wykorzystał do obrzucenia zaniepokojonym spojrzeniem rozgwieżdżonego firmamentu. Przez głowę przebiegały mu bardzo niepokojące myśli.

W ciągu tych trzech tygodni, od czasu wylotu Boba Tallena i *Syriusza*, z pasa asteroidów nadeszło wiele niepokojących raportów. Jedenaście dużych planetoid zniknęło ze swoich orbit – dosłownie rozpłynęło się w pustce! Kilkanaście doborowych statków transportowych było opóźnionych i nie było z nimi kontaktu. Statek zaopatrzeniowy radiolatarni, przez mgłę rozdzierających uszy szumów i zakłóceń, wysłał gorączkowe S.O.S., które urwało się w środku zdania: „Jesteśmy właśnie pochłaniani…”.

Na pomoc statkowi zaopatrzeniowemu posłano kanonierkę *Jaguar*, o której od tego czasu słuch zaginął. To wszystko było zupełnie niewytłumaczalne. Brzmiało wręcz złowieszczo.

Berol przeszedł obok wartowników o ponurych twarzach, stojących przed Siedzibą Sztabu Generalnego. Jako dyrektor Instytutu Biologii, mógł wchodzić do tych starannie pilnowanych budynków. W środku, sala do której się udał, wypełniona była szczelnie oficerami wpatrzonymi w wielki ekran wizyjny i słuchającymi w skupieniu towarzyszącego obrazowi komentarza. Fava siedziała obok admirała Madigana, z białymi jak śnieg pięściami zaciśniętymi na poręczach fotela. Berol zatrzymał się tam gdzie stał. W pomieszczeniu rozbrzmiewał, dochodzący przez televox Mark IX, głęboki, niski głos.

— To Bill Evans z *Capelli* — ktoś wyszeptał.

— …wreszcie skończyliśmy obserwację tego stworzenia, czymkolwiek by ono nie było, i teraz zmierzamy już z powrotem na pokład. Okrążyliśmy je dwukrotnie, ale nie znaleźliśmy nawet najdrobniejszego śladu *Jaguara*, czy któregokolwiek z pozostałych statków.

Berol wpatrywał się w niewiarygodny widok, przekazywany przez skaner *Capelli*. Cały teren był brudno-różowy i poznaczony mnóstwem dziwacznych wypustek, wijących się rurek. Wszystko wyglądało na miękkie i gąbczaste, jak zgniła galareta. W dziwny sposób przypominało to

bulwiaste zakończenie Kellog 218. Berol wzdrygnął się na samo wspomnienie. Evans kontynuował:

— … nie zauważono falujących kęp, wspomnianych przez *Jaguara*, tuż przed zamilknięciem jego radia. Widzę tylko kopce czegoś, co wygląda jak kupki gigantycznego makaronu. Skipper postanowił wylądować. Za jakąś minutę przekażę wam obrazy z bliska. Czekajcie!

Rozległ się głośny ryk niezwykle silnych zakłóceń, a kiedy głos ponownie się odezwał, trudno było zrozumieć słowa. Zakłócenia przeszkadzały również w odbiorze sygnału wizyjnego, obraz na ekranie pokrył się mgłą poruszających się różowych punkcików, spoza których nic nie było widać. Po kilku chwilach operatorom udało się wyeliminować większość szumów i z głośnika ponownie zabrzmiał głos, rycząc głośno na tle ogłuszającego szumu trzasków.

— …powierzchnia bardzo zwodnicza… zupełnie twarda i szorstka. Grupa lądująca wyszła przez właz i odcina próbki przy pomocy świdrów i toporków. Jeden z ludzi odrąbuje szkarłatny odrost, wielki jak beczka. Uwaga – jeden z tych kopców obwisłych rur poruszył się! Te wąsy chłoszczą dookoła siebie jak węże! Niektóre z nich wystrzeliły na całą długość w powietrze, inne wiją się wszędzie wokół nas!

Berol przepchnął się przez tłum. Fava ciężko oddychała. Szczęka admirała Madisona była twarda jak granit, a jego wzrok nawet na chwilę nie odsunął się od ekranu.

— … to są macki! Jedna z nich owinęła się nam wokół dziobu, druga pochwyciła za śródokręcie. To dlatego tak się obracamy i przesuwamy. Kapitan przygotowuje do akcji Q-działa. Za chwilę otworzymy ogień – lepiej zmniejszcie siłę głosu, dopóki nie skończymy. Teraz…

Pomieszczenie wypełnił potężny ryk, aż zatrzęsły się ściany. Potem zredukowano głośność. Przez płytę wizyjną przemknęły języki szkarłatnego światła, a następnie zrobiła się ona niemal czarna, jak gdyby przesłonił ją gęsty, oleisty dym.

— …wszystkie silniki rufowe pracują z pełnym ciągiem. Powierzchnia planetoidy – jeśli ta przeklęta rzecz w ogóle jest planetoidą – gwałtownie dymi. Wiele kęp tych wąsów za nami zostało spalonych. A jednak ciągle tu tkwimy. Wygląda, że sam impuls silników nie wystarczy byśmy wyrwali się z tego uchwytu…

Relacjonujący sytuację głos ponownie zatonął w szumie niezwykle silnych zakłóceń. Po chwili podjął:

— … próbujemy użyć również silników dziobowych. Czekajcie. Nie, w ten sposób się nie wydostaniemy… śluza kosmiczna jest cała owinięta i zaczynamy się szybko obracać! Pod nami otworzyła się ogromna szczelina. Zapadamy się w nią! Cały właz jest już w środku. My… grrrr!

Głos ucichł, zduszony wpół słowa, a ekran raptownie zgasł. W ciemnej sali, przez chwilę wszyscy milczeli. Berol wyczuwał raczej niż widział, napięcie panujące wśród twardych oficerów Straży Kosmicznej. Ręka Favy przysunęła się do jego dłoni i złapała za nią.

Capella właśnie uległa zagładzie, której oni byli tak blisko. Nie było żadnych wątpliwości, co do podobieństwa potwora, który ją zniszczył i zagrożenia z Kellog 218.

— **W**ezwać *Syriusza*! — przerwał ciszę głos admirała Madisona, ostry i gniewny. — Co u diabła przez cały ten czas robił Tallen?

Ale *Syriusz* już tam był, unosząc się nad miejscem, w którym znajdowała się *Capella*. Jego rozdzierające Q-promienie chłostały powierzchnię, wypalając całe akry żarłocznej fałszywej asteroidy. Statek włączył swój televox, tak więc zebrani w Kwaterze głównej widzieli trzęsący się, skwierczący teren rozciągający się pod nim. Kępy trzystustopowych wąsów były palone na węgiel i popiół, pęczniały i pękały wypuszczając obrzydliwe gazy. Obrazowi towarzyszył głos Boba Tallena, mocny i czysty, rzucający precyzyjne rozkazy.

Jednak nic, co mógł zrobić *Syriusz*, nie było już w stanie uratować bratniego okrętu. Górna wieżyczka Capelli zatonęła, ginąc z pola widzenia, skórzasta okrywa zamknęła się nad nią całkowicie. Po kilku minutach, pozostała po niej tylko wyraźna sina blizna, a potem nawet ona zniknęła.

Na ekranie pojawiła się twarz komandora Boba Tallena, mocno powiększona w zbliżeniu.

— Ciepło załatwi sprawę — powiedział krótko. — Przyślijcie mi wszystko co macie i parę ton feroksytu. Rozwalę tę przeklętą bestię na kawałki, a potem te kawałki wypalę.

Jego twarz zniknęła z ekranu. Admirał Madigan ruszył do akcji.

— Wynosić się stąd, wszyscy! Eskadry Trzecia, Szósta i Dziesiąta startują natychmiast. Na miejscu zameldować się u Tallena. Wszystkie flotylle rezerwowe mają zainstalować ciężkie miotacze ognia i zatankować paliwo do pełnej pojemności zbiorników. Meldować się do mnie, zaraz jak tylko będziecie gotowi.

Wyrzucił z siebie jeszcze kilka innych krótkich rozkazów i oficerowie pośpiesznie wybiegli z sali. Fava odsunęła się na bok, z oczyma pełnymi zgrozy. Dobrze pamiętała uchwyt tych bezlitosnych macek! Nie było wątpliwości, że diabelstwo, które właśnie widziała, było tym samym, co na Kellog 218, tylko bardziej wyrośniętym. Ciągle brało ją obrzydzenie na wspomnienie szlamowatych szczelin, które paskudna bestia zdawała się otwierać w razie potrzeby. Wszystko to przepełniało ją grozą, ponieważ Bob Tallen miał zaatakować tego potwora, a był przecież taki popędliwy, taki nieostrożny w swej odwadze.

— Och, Walterze! — płakała, trzymając Berola za rękę. — Czy myślisz…

Walter Berol ponuro pokręcił przecząco głową.

— Jest za późno na stosowanie brutalnej siły. To stworzenie stało się zbyt duże. Powinniśmy dowiedzieć się czegoś o jego naturze i zniszczyć je, kiedy było mniejsze. Do tej pory, musi mieć już chyba ze cztery mile średnicy i rośnie w miarę jedzenia. Cała nasza flota może mu zaszkodzić nie bardziej, niż rój komarów atakujący nosorożca. Jeśli w ogóle można je jakoś zaatakować, to tylko poprzez jego procesy biologiczne. Bob próbuje dokonać czegoś niemożliwego.

Admirał Madigan odwrócił się, a uśmiech zimnej pogardy wykrzywił mu wargi.

— Proszę, proszę! Marzyciel wyszedł w końcu ze swej wieży z kości słoniowej, żeby na nas popatrzeć i powiedzieć nam, że się mylimy. No cóż. A jakie rozwiązanie oferuje nam jego wspaniały mózg? Tylko szybko! To rzeczywiste niebezpieczeństwo – na pańskich oczach właśnie zginęli ludzie!

— Ja… nie… wiem — odparł powoli doktor Berol. — Badania wymagają czasu. Rozpocznę je natychmiast…

— Phi! — parsknął Madigan. — Badania! Na szczęście są na miejscu ludzie gotowi do działania. Jak nasz Tallen.

Odwrócił się gwałtownie do tyłu, pozostawiając Waltera Berola tam gdzie stał, z płonącą złością twarzą. Mroczny gniew wypełnił mu serce, ale mieszała się z nim również i litość – litość dla ślepej arogancji tych zapatrzonych w siebie ludzi działania, którzy myśleli, że zdołają opanować to kolosalne zagrożenie swoją słabowitą bronią.

Ze wszystkich znajdujących się w tej sali ludzi, tylko Berol w pełni uświadamiał sobie ogrom niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad Układem Słonecznym. Jeżeli potwór przydryfował tutaj z otwartego kosmosu, żywiąc się kosmicznym żwirem, do czasu kiedy nie zrobił się na tyle duży, aby pochłonąć ciało kosmiczne takie jak żelazna planetoida Kelloga, dokąd mogło to doprowadzić? Co zacznie pożerać po asteroidach? Być może księżyce planet. A po nich?

W tej właśnie chwili, Berol postanowił powstrzymać tego Księżycożercę – i zdawał sobie sprawę, że będzie musiał stawić czoła drwinom i sprzeciwom. Ale różowe zagrożenie stało się dla niego czymś więcej, niż tylko groźbą dla rasy – stało się również sprawą osobistą. Stworzenie, niezależnie od jego natury, zaatakowało kobietę, którą kochał, a potem w jej obecności zmiażdżyło i upokorzyło jego samego. A teraz wywołało drwiny tego admirała.

— Fava — nagle oznajmił, — chciałbym skorzystać ze *Sprite'a*.

— A jeśli się nie zgodzę?

— Wtedy przejmę jego dowództwo w imieniu Instytutu.

Atmosfera zdecydowania w jego tonie zaskoczyła ją. Dotychczas użył jej tylko raz – w dniu kiedy powiedział, że nie wyjdzie za Boba Tallena. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, a potem wzruszyła ramionami. Niech spróbuje; chciał dobrze. Ale była pewna, że zawiedzie. Tam, w tej zimnej, pozbawionej ciążenia próżni kosmicznej, musiał zawieść, tak jak zawsze to czynił poza murami swoich laboratoriów. To nie miało znaczenia. Jedynym co się dla niej w tej chwili liczyło, to pretekst aby znaleźć się blisko swego ukochanego.

— Dobrze, Walterze — zgodziła się Fava, z uśmiechem na ustach. — Pamiętaj jednak, że jestem doświadczoną pomocą laboratoryjną, a *Sprite* to mój jacht. Mam zamiar lecieć razem z tobą.

— Ale niebezpieczeństwo…

— Bob jest również w niebezpieczeństwie — odparła wprost.

*****

— Martwy — wymruczał Walter Berol.

Na stole w latającym laboratorium *Sprite'a*, leżał niezgrabny wenusjański przeżuwacz skał – Lithovere Veneris – dziwaczny, żywiący się kwarcem gatunek pancernika. Wszystkie jego organy wewnętrzne, oglądane przez fluoroskop, były nieruchome.

— Dwudziesta dawka toxicinu[1] nie dała żadnego efektu – kolejna go zabiła.

— A więc myślisz… — Fava spojrzała na niego.

— Nie. Po prostu warto tego spróbować. Chemia organizmu Księżycożercy może być taka sama; ale może nie. Mamy na pokładzie dwadzieścia pojemników tego związku. Chciałbym umieścić je na następnej ofierze potwora. Potem zobaczymy, jaki będzie efekt.

Następną ofiarą była mała planetoida Athor. Ludzie dowiedzieli się czegoś o drapieżnych zwyczajach różowego najeźdźcy. Ten olbrzymi potwór przeskakiwał z orbity na orbitę dzięki manipulacji polami magnetycznymi, których tworzeniu towarzyszyło wycie zakłóceń. Nieubłaganie ścigał wybrane przez siebie ciała kosmiczne, dopóki ich nie dogonił. Potem, unikając zderzeń i kolizji, grabieżca rozdzielał swe ciało i dosłownie otaczał nim planetoidę. Paszcza zatrzaskiwała się i Księżycożerca mógł przejść, coraz większy, coraz bardziej żarłoczny, do swojej następnej ofiary.

Fava wylądowała *Spritem* w ponurym kanionie na Athor, nazywanym South Valley. Był już najwyższy czas na to, co mieli zrobić, ponieważ Księżycożerca wisiał na czarnym niebie jako ogromny i coraz bardziej rosnący dysk. Widać było nawet błyskawice na jego powierzchni, w miejscu nad którym unosiła się chmura krążowników Tallena, nieustannie strzelając, paląc i nękając potwora. Raz za razem razili jego powierzchnię, dopóki w miejscu, w którym znajdowały się kępy zabójczych wąsów nie pozostały tylko czarne pniaki, ale równie szybko potworowi odrastały nowe.

Walter Berol założył skafander kosmiczny i z czterema ludźmi ze swojej załogi, szukał jaskini, w której mogliby złożyć przygotowaną śmiertelną truciznę. Ledwie jednak wyszli ze śluzy powietrznej, kiedy z ognistym podmuchem usiadł w pobliżu ogromny statek wojenny. Z jego włazu wyskoczyło kilkanaście postaci w hełmach i popędziło w stronę stojącego jachtu.

— Co wy tutaj robicie, głupcy! Ta asteroida została ewakuowana trzydzieści godzin temu!

Był to głos Boba Tallena, twardy i gniewny.

[1] Toxicin, silny związek chemiczny, który może niszczyć i rozpuszczać białka pewnych żywych stworzeń, takich jak przeżuwacz skał z Wenus, opisany tutaj, jako stworzenie podobne do pancernika (przyp. red.)

Potem, ku swemu zdziwieniu, Tallen rozpoznał znajome kształty *Sprite'a* i zorientował się, że przed nim stoi Berol.

— Mój Boże! — krzyknął Tallen ochrypłym głosem. — Fava też tu jest? Wynoście się stąd… natychmiast… dopóki jeszcze możecie!

Wskazał ręką na zbliżającego się Księżycożercę, który w tej chwili wypełniał już jedną czwartą nieba.

— Widzę go — odparł Walter Berol. — Odlecimy zaraz jak tylko zostawimy parę pojemników z chemikaliami. Umieszczę tutaj dawkę trucizny…

— Aresztować tego człowieka! — Tallen obrócił się w stronę żołnierzy w niebieskich kurtkach, którzy za nim podążali.

Marynarze z *Syriusza* rzucili się na Berola i zanieśli go, protestującego i wyrywającego się, na *Sprite'a*. Tallen szedł tuż za nimi. Na pokładzie jachtu Tallen zaczął wyrzucać z siebie rozkazy dla innych statków. Włazy śluz obu jednostek zatrzasnęły się z hukiem i w tej samej chwili pomknęły one w górę, ciągnąc za sobą smugi płomieni.

— Popatrz — dramatycznie oznajmił Bob Tallen, wskazując na znajdującą się za nimi asteroidę.

Księżycożerca był już co najwyżej cztery średnice od niej. Rozdziawił swą paszczę, pokazując w środku szlamowatą purpurową pieczarę. Pięć minut później straszliwe pseudo-wargi zamknęły się na drugim krańcu małej Athor. Przez chwilę widać było jeszcze wyraźny ślad linii, w miejscu gdzie zniknęła asteroida. Różowy potwór potoczył się dalej, nie zwracając uwagi na masę krążowników dźgających go swoimi emiterami Q-promieni i działami cieplnymi.

Wszyscy lekko westchnęli.

— Gdyby mnie tu nie było — mówił dalej Tallen, z chmurą i gniewną twarzą, — ty – i Fava – znaleźlibyście się tam w środku. Muszę ograniczyć ci wolność, żeby ratować ciebie samego przed twoją głupotą. To gra dla prawdziwych mężczyzn. Nie ma czasu, na zabawę jakimiś teoriami. To, czego teraz potrzeba, to zdecydowane działanie.

— I tak już działasz od dwóch miesięcy — odciął się Walter Berol, z kłującą ironią w głosie. — Jak oceniam, w tym czasie Księżycożerca potroił swoją objętość. Tak efektywne jest twoje działanie. Zdaje się, że najwyższy czas, aby ktoś tu trochę pomyślał.

— To moja sprawa — ostro rzucił Tallen. — Autarcha, przewodniczący Rady Systemowej, mnie zlecił tę robotę. Jeśli będę potrzebował pomocy, to o nią poproszę. Do tego czasu, masz mi się usunąć z drogi.

III
Pościg

Z powierzchni Marsa zniszczenie Deimosa było doskonale widoczne. Wszystkie oczy, wszystkie teleskopy, wszystkie lornetki wycelowane były w zbliżające się jądro zagłady. Baterie kamer spijały każdy szczegół przez soczewki telefoto. Sporządzano płyty fotograficzne w ultrafiolecie i podczerwieni. W każdym dobrym miejscu sprawozdawcy Omivoxu ustawili mikrofony i opisywali głęboko poruszonemu społeczeństwu Układu Słonecznego toczącą się bitwę.

Bob Tallen, obecnie już komodor Straży Kosmicznej, ustawił odpowiednio przyrządy sterujące na swym pulpicie, w południowej wieży budynku administracyjnego Ares City. Był gotów na ostateczną próbę sił między podległymi mu oddziałami a tym, jak dotąd, nieodpartym różowym zagrożeniem. Pod jego kierunkiem Deimos został podziurawiony mnóstwem galerii i tuneli. Całe ich mile wypełnione zostały dziesiątkami tysięcy ton feroksytu. Wokół równika Marsa rozmieszczone zostały ciężkie działa oblężnicze, mające wspomóc statki w trakcie bombardowania potwora. Tallen zaproponował, by jedną niesamowitą koncentracją ognia i gwałtownych wybuchów, rozsadzić niszczycielskie stworzenie na kawałki.

Sprite był bezpiecznie ukryty w Marsjańskiej Stoczni Kosmicznej i aby umożliwić Favie oraz Berolowi obserwację swojego tryumfu, Tallen przydzielił im obojgu miejsce u swego boku.

Czternaście krążowników pierwszej klasy i wiele dziesiątek mniejszych, ścigało Księżycożercę od strefy asteroidów, w trakcie pogoni nieustannie go ostrzeliwując. Dzień za dniem zrzucali na niego materiały wybuchowe i palili gwałtownymi płomieniami ciągle odrastające macki.

Setki statków transportowych krążyły między flotą i bazami, dostarczając zapasów paliwa i amunicji. Jako demonstracja utrzymywanego przez dłuższy czas zastosowania brutalnej siły, kampania Tallena nie miała jeszcze precedensu w historii. Teraz był już gotów, żeby zabić potwora.

— To się nie uda, Bob — łagodnie zauważył Berol, obserwując duży różowy obiekt, zbliżający się do niewielkiego księżyca Marsa. — Mówiłem ci przecież, że to stworzenie ma charakter organiczny.

— I co z tego? — warknął Tallen. — Jeśli żyje, to można je zabić, co nie?

— Jeżeli jesteś w stanie zastosować wystarczająco dużą siłę w jednej chwili. A tego właśnie nie będziesz mógł zrobić. Próbujesz zabić słonia, kłując go scyzorykiem. Ponieważ jest to stworzenie organiczne, może naprawiać swe uszkodzenia. I tu znalazłeś się w kropce. Musisz zaburzyć funkcje jego organizmu…

— Wystarczająco zaburzę jego funkcjonowanie — ponuro odparł Tallen, z oczyma utkwionymi w potworze. Był już w odległości poniżej

jednej średnicy od Deimosa. Komodor nacisnął znajdujący się przed nim przycisk – trzy razy. Rozpoczął się atak.

Chmura krążowników przemknęła przed rozdziawioną paszczą Księżycożercy, wystrzeliwując swe salwy jej otchłań. Inne zaczęły palić go wściekłym ogniem z tyłu. Pomimo tego wszystkiego, Księżycożerca nieodparcie parł naprzód, a ohydne pseudo-wargi potwora zamknęły się na niewielkim satelicie. Bob Tallen nacisnął klawisz odpalający sterowane przez radio miny.

— Oooch! Patrzcie! — krzyknęła Fava, chwytając Berola za ramię. — Bob zwyciężył! Rozerwał go na kawałki!

Przez kilka minut wyglądało, że rzeczywiście tak się stało. Na jednym boku Księżycożercy wyrósł ogromny pęcherz akomodujący straszliwe uderzenie rozszerzających się w jego wnętrzu gazów. Potem monstrum w dziesiątkach miejsc gwałtownie wybuchło, tak jak łańcuch ziemskich wulkanów, wyrzucając z siebie wielkie pasy wnętrzności. W kosmiczną próżnię strzeliły wydarte przez eksplozję strumienie kawałków purpurowego ciała. Kolejne pasy lepkiego materiału wyleciały z postrzępionej jamy, stanowiącej pysk bestii, tylko po to, by rozbłysnąć płomieniem w ogniu dział Q-promieni.

Potem wszystkie inne dźwięki utonęły w gardłowym ryku tysięcy ciężkich dział strzelających z Marsa. W chwili kiedy wycofały się statki kosmiczne, ogień otworzyła artyleria, wystrzeliwując salwę za salwą w udręczonego potwora. Wielkie fragmenty skóropodobnej okrywy zostały wyrwane z niego, pozostawiając po sobie postrzępione leje. Macki latały w próżni porozrywane na kawałki i rozpadły się aż po same korzenie. Z towarzyszeniem morza zakłóceń, większego niż kiedykolwiek wcześniej, potwór odwrócił się od Marsa i skierował z powrotem w stronę pasa asteroidów.

Bob Tallen z niedowierzaniem wpatrywał się wściekłym wzrokiem w wycofującego się najeźdźcę. Zranił go – tak. Ale on ciągle żył! Nie wyrzucił z siebie satelity, którego właśnie pożarł. Zmierzał z powrotem, by zupełnie oczyścić pas asteroid. Krążownik za krążownikiem rezygnowały z pogoni i kierowały się z powrotem na Marsa. Skończyła im się amunicja. Wykonali wielkie uderzenie – i ponieśli porażkę!

— Za pańskim pozwoleniem, komodorze Tallen — oznajmił sucho Walter Berol, — zajmę się teraz moimi badaniami, w miejscu, w którym musiałem je porzucić. Zauważyłem, że pańskie pociski wybuchowe osiągnęły penetrację jakichś trzystu stóp. Jeśli wziąć pod uwagę, że Księżycożerca ma średnicę około dziesięciu mil, powinno być jasne, że udało się panu co najwyżej lekko zadrapać mu skórę. Musi zostać zaatakowany od środka, a nie z zewnątrz.

— Bierz się za te badania, i niech cię diabli! — rzucił mu Bob Tallen z wściekłością i rozczarowaniem. — Skamlesz cały czas, co też potrafi zdziałać nauka – no dobrze, pokaż nam! Tylko nie wchodź mi w drogę.

— Zrobię to — odparł lodowatym tonem Berol.

Wstał i wyszedł z pomieszczenia. Wychodząc nawet nie spojrzał na Favę. Zdawał sobie sprawę, z wyzwania, jakie zostało mu postawione. Najważniejszą rzeczą było pokonanie Księżycożercy. Sprawy osobiste, mogły zaczekać. Pomimo wszystko, jeśli potworowi pozwoli się zapełniać żołądek bez ograniczeń, pochłaniając ciała niebieskie Układu Słonecznego, to sprawy osobiste wkrótce po prostu przestaną istnieć. W tej chwili Walter Berol zdecydował się poświęcić zniszczeniu różowego potwora.

*****

Berol nie udał się na *Sprite'a*. Zamiast tego wziął kosmiczny zaopatrzeniowiec *Jennie*, należący do marsjańskiego oddziału Instytutu Biologii i poleciał nim na orbitę nieistniejącego już Deimosa. Tu i ówdzie, w mnóstwie szczątek, unosiły się tam sznury lepkiej materii wyrzuconej z rannego Księżycożercy, wymieszane z długimi pasami postrzępionej i porwanej tkanki. Berol zebrał całe tony śmierdzącego, brudnego materiału i przetransportował je na dół, do oddziału laboratorium na Marsie.

Na wiele tygodni zanurzył się w badaniach zebranych okazów. Wraz ze swymi pomocnikami, wykonywał ich sekcje, tworzył kultury i analizował. Był zdumiony tym, czego się dowiedział. Monstrum zbudowane było z białek! Dzięki jakiemuś kaprysowi wewnętrznej chemii, stworzenie mogło transmutować cięższe pierwiastki w lżejsze: przekształcać żelazo w mięśnie, a kwarc w płyny organiczne.

A jednak, pomimo swego odkrycia makroskopowej natury struktury potwora – jego poszczególne komórki były tak duże jak jabłka – nie zdołał dowiedzieć się wiele o jego budowie jako całości i nic na temat organów życiowych. Miał do dyspozycji tylko fragmenty naskórka i wycieki jego płynów podskórnych. Zadanie było równie beznadziejne, jak próba rekonstrukcji wieloryba z kilku cali kwadratowych wyrwanego tłuszczu.

Berol ciągle zawzięcie pracował nad swoim celem, kiedy transmisja „Do-Całego-Układu" przerwała spokój jego badań. Kiedy przemawiał Autarcha, wszyscy słuchali.

— Obywateli Układu Słonecznego informuje się, że Najwyższa Rada wydała dekret, iż kosztująca nas utratę poważnych zasobów wojna z najeźdźcą popularnie zwanym Księżycożercą, zostaje przerwana. Pomimo bohaterskich wysiłków Straży Kosmicznej, zniszczył on prawie wszystkie nasze asteroidy, włączając w to Ceres i księżyce Marsa. Zbliża się obecnie do tysiąca mil średnicy i opanowanie go całkowicie przerasta nasze możliwości…

Doktor Berol złapał głęboki oddech. Ostatnio stracił kontakt ze światem zewnętrznym i nie wiedział, że sprawy zaszły aż tak daleko.

— Rozkazuje się więc, aby wszystkie satelity Układu, mniejsze niż zniszczone ciała niebieskie, zostały natychmiast ewakuowane, oraz by naukowcy ze wszystkich dziedzin odłożyli badania, w które są obecnie zaangażowani i skoncentrowali się na problemie uczynienia Jowisza zdatnym do zamieszkania. Nasi matematycy ekstrapolowali krzywą konsumpcji Księżycożercy, znając rozmiar pozostałych planetoid i obliczyli

z dużą dokładnością termin zagłady każdej z naszych planet. Tylko Jowisz jest na tyle duży, że Księżycożerca nigdy nie urośnie tak bardzo, aby go połknąć.
— Autarcha przemówił!

Walter Berol siedział wpatrzony w wyłączony głośnik długo jeszcze po ostatnim kliknięciu. A więc Bob Tallen został pokonany. Autarcha został pokonany. Rasa ludzka została pokonana. To oznaczało jej zagładę, ponieważ przekształcenie wielkiego króla planet w miejsce nadające się do zamieszkania przez człowieka, było nieprawdopodobne. A nawet jeśli się to uda, w całym Układzie nie było dostatecznej ilości środków transportu, do przewiezienia tam ludności…
Berol także został pokonany. Zdawał sobie z tego sprawę. Cała gorączkowa praca ostatnich tygodni, poszła na marne. Nie osiągnął żadnych konkluzji, nie znalazł śmiertelnej trucizny, która mogłaby zabić potwora. Nawet gdyby ją miał, to nie miał żadnej jasnej koncepcji, w jaki sposób można by ją wprowadzić do obcego organizmu. To prawda, że kobra może powalić byka jednym ukąszeniem. Ale Berol nie miał ani sprawdzonej trucizny, ani środków do jej wstrzyknięcia. A teraz nadeszło polecenie porzucenia całej tej pracy. Jego porażka była zupełna, ponieważ nakaz Autarchy był ostateczny.
Ze zmęczeniem nacisnął przycisk na biurku.
— Proszę zamknąć nasze akta odnośnie Księżycożercy — polecił kierownikowi laboratorium. — Potem niech pan mi przyśle wykaz literatury na temat „Flora i fauna Jowisza”.

*****

Fava Dithrell wpadła w podnieceniu do pracowni Waltera Berola.
— Walterze — zawołała, — Księżycożerca jest tutaj! Właśnie mija Europę.
— Nic z tym nie możemy zrobić — odparł Berol. — Otrzymaliśmy rozkazy, aby go ignorować. Przynajmniej, Callisto na razie jest bezpieczna.
Kiedy Berol przeniósł swoją kwaterę główną, aby być bliżej Jowisza, nie był mocno zaskoczony, że Fava już tutaj była, jako pomoc. Polecenie Autarchy nakazywało inżynierom wszystkich stopni i wszystkim naukowcom pracę nad projektem Jowisz, zaś Fava była znanym biologiem-amatorem. Berol długo podejrzewał, że zgłosiła się do pracy w laboratoriach na Callisto, ponieważ Bob Tallen bazował w pobliżu, na Io. Po odsunięciu od polowania na Księżycożercę, Tallen został odpowiedzialny za ewakuację mniejszych satelitów Jowisza.
— Księżycożerca — powtórzyła Fava. — Walterze, on zachowuje się dziwnie. Ominął mniejsze satelity zewnętrzne, nawet nie dotykając żadnego z nich.

— Hmmm — zadumał się. — To faktycznie dziwne. Może mieć jakieś znaczenie. — Zabębnił palcami po blacie biurka. — Być może osiągnął już swoje pełne rozmiary; teraz może będzie mniej konsumować.

Tak, zachowanie Księżycożercy było naprawdę dziwne. Ominął księżyce Jowisza po leniwej, zawężającej się spirali, a następnie opuścił układ Jowisza, nie zaczepiając nawet najmniejszego satelity! Wybuchły powszechne spekulacje. Czy potwór osiągnął swoje optimum – swoją maksymalną wielkość? Mogło być i tak: każdy gatunek istot żywych ma ograniczone rozmiary. Tylko czas mógł przynieść odpowiedź na to pytanie.

Ale kiedy panika opadła wśród kolonistów układu Jowisza, wiadomości zaczęły wypełniać krzykliwe opisy ucieczki ludzi z układu Saturna. Różowe monstrum udało się właśnie w tę stronę, a wszystkie księżyce Saturna miały jadalne rozmiary.

Księżycożerca leciał coraz dalej. Prześlizgnął się koło Hiperiona, Rei i wszystkich innych małych księżyców. Nie ruszył żadnego z nich, lecz podleciał blisko na wpół płynnej planety. Tam, dosyć zaskakująco, wpłynął w środek pierścieni i został w tym miejscu, orbitując przez kilka tygodni wokół Saturna, jako dobrowolny satelita! Potem, równie nieoczekiwanie jak przyleciał, odleciał i pomknął po rozszerzającej się spirali, aby przeciąć drogę Uranowi.

Walter Berol dowiedział się o tym tylko dlatego, że powiedziała mu Fava. Rancza jej ojca znajdowały się na Tytanii i dziewczyna bała się, że jego posiadłości ulegną zagładzie. Berol ponuro pokręcił głową. Nic nie można było zrobić. Autarcha wielokrotnie odmawiał mu pozwolenia na wznowienie przerwanych prac. Przewodniczący Rady posunął się tak daleko, że zagroził mu surowymi środkami dyscyplinarnymi, jeśli ponownie podniesie tę sprawę.

Ale przekazany przez Favę opis działań Księżycożercy w pobliżu Saturna, miał na Berola elektryzujący wpływ. Podskoczył z podnieceniem.

— Tak, tak – oczywiście! Mogłem to przewidzieć! To właściwa odpowiedź, z pewnością. Nie mogła polecieć do pierścieni w innym celu…

— Ona! — warknęła Fava, jej strach umknął pod wpływem obrazy. — Dlaczego przypisujesz moją płeć temu niewysłowionemu potworowi? — Z gniewem tupnęła małą stópką.

— Tak – ona! — gromko zakrzyknął Berol. — Nie rozumiesz? Teraz będziemy mieli do czynienia z większą liczbą tych przeklętych stworzeń – być może z tysiącami, a nawet milionami. Musimy tam natychmiast polecieć i zniszczyć jej diabelskie potomstwo!

Fava wpatrywała się w niego w osłupieniu. Taki pokaz emocji był w przypadku Berola czymś bardzo rzadkim. On zaś ciągnął dalej, potężnym głosem.

— Ten potwór kiedyś też był mały – pewnie nigdy się nie dowiemy jak mały. Początkowo prawdopodobnie zjadał piasek i żwir kosmiczny, potem większe kamienie, a teraz księżyce. W tej chwili jest już dorosły i jak

wszystkie inne żywe stworzenia odczuwa przymus reprodukcji. Złożyła swoje jaja w żwirze pierścieni Saturna!

Napięcie Favy utonęło w fali wesołego, dźwięcznego śmiechu.

— Walterze, chyba oszalałeś! Jaja! Cóż za fantazja!

— Mówię zupełnie poważnie. To jedyny sensowny wniosek. Widzimy właśnie, jak cykl życiowy potwora ponownie się rozpoczyna – będzie żywił się piaskiem, żwirem i niewielkimi ciałami, które znajdą się w jego pobliżu. Jak pszczoła, mrówka, czy żuk, samica składa jaja w miejscu, gdzie znajduje się największa obfitość pożywienia, odpowiedniego dla świeżo wyklutego potomstwa. Co innego mogłoby ją powstrzymać od zjedzenia samemu tych satelitów? Znamy przecież jej żarłoczność. To jej instynkt macierzyński!

Fava wciągnęła głęboko powietrze. To była śmiała koncepcja, ale całkiem wiarygodna. Księżycożerca był żywym stworzeniem, nikt w to przecież nie wątpił.

— Ale, czy Autarcha… — zaczęła.

— Do diabła z Autarchą i jego jednotorowym myśleniem! — wykrzyknął Berol, wciskając na głowę czapkę. — Twój jacht, Favo, jest w pełni wyposażony. Przeciwstawimy się wszystkiemu i wszystkim! Od nas zależy dalsze istnienie naszej rasy. Te młode Księżycożercy, stanowią wskazówkę do jego struktury, jego chemii. Idziemy!

IV
Wyprawa w głąb

— **W** tej chwili, mamy już praktycznie szybkość Pierścieni — oznajmił Anglin, szyper statku Favy.

Wszędzie wokół nich wisiały błyszczące kryształy kwarcu i krystaliczne kawałki żelaza, które przez wieczność krążyły wokół Saturna, w szerokich pasach.

— Dobrze — powiedział Berol. — Proszę włączyć emiter promieni ultrafioletowych.

Naciągnął na siebie skafander kosmiczny i wyszedł na kadłub statku. Przez dłuższy czas siedział, trzymając w ręku długi pręt, zaopatrzony na końcu w sieć o kształcie motyla, analizując odbite promieniowanie, odsyłane przez cząsteczki Pierścienia. Otaczający ich kosmos zdawał się być skryty za czymś w rodzaju mgły, tak gęsto przestrzeń wypełniona była unoszącym się piaskiem i pyłem. Niewiele tylko z większych kamieni, wchodzących w skład Pierścienia, przekraczało rozmiary bili bilardowej. Było to doskonałe żerowisko dla embrionów Księżycożercy.

Minęła ponad godzina, zanim Berol schwytał pierwszy embrion, ale kiedy zorientował się, że fluoryzują one osobliwym cytrynowożółtym

światłem, zaczął wyławiać je całymi dziesiątkami. Nie różniły się bardzo od piłki do koszykówki – skórzane, różowawo-pomarańczowe kule, pokryte delikatnym, mięciutkim puchem. Te malutkie włoski w przyszłości miały zmienić się w straszliwe macki, przytrzymujące mniejszą zdobycz – aż jedna z miriadów szczelinowatych paszczy będzie mogła się pod nią otworzyć i ją pochłonąć.

Walter Berol przekazał zadanie chwytania tych stworzeń dwom marynarzom z załogi, a sam pośpieszył do laboratorium ze swymi pierwszymi okazami. Tryumfalnie rzucił je na stół laboratoryjny, przed Favę.

Szybko i pod jej uważnym spojrzeniem, rozpłatał jedno z stworzeń, przecinając je od bieguna do bieguna zielonym laserowym skalpelem. Odsłonił przypominającą zestaw obręczy konstrukcję żeber, rozmieszczoną w ciele Księżycożercy, na podobieństwo ziemskich południków. Jego nóż ujawnił następnie mocne okołobiegunowe mięśnie, ściągające żebra w jedną stronę, podczas zjadania dużych mas. A pod lepką, purpurowatą galaretą, wypełniającą jamę ciała stworzenia, Berol znalazł pulsujący zielony organ, bez wątpienia stanowiący jego mózg.

Tak szybko, jak tylko był w stanie poruszać palcami, Berol śledził wychodzące z niego zawiłe rozgałęzienia zielonych włókien nerwowych, aż do miejsc, w których kończyły się one na skórze, małymi, czerwonymi plamkami, odbierającymi impulsy motoryczne[1]. Znalazł następnie rurowate arterie, przenoszące purpurowe soki życiowe z centralnego zbiornika, oraz zlokalizował wiele pomocniczych żołądków, leżących pod szczelinowatymi otworami. W ciągu godziny dokładnie poznał anatomię potwora.

— Przynieś mi strzykawkę toxicinu — polecił.

Fava wstrzyknęła truciznę jednemu z żywych okazów, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Potem spróbowała heterainy i totronolu[2]. Totronol okazał się również nieszkodliwy, ale heteraina miała zdecydowanie narkotyzujący skutek. Powodowała czasowy paraliż części ciała, w które została wstrzyknięta.

— To już coś — wymamrotał Berol, kiedy wyczerpali już listę trucizn i narkotyków. — Teraz, zarazki chorobotwórcze.

Wszędzie po całym przedziale porozkładane były fiolki pełne bakcyli. Były to próbki bakterii, powodujących każdą chorobę ludzi, zwierząt, roślin, czy znanych potworów przestrzeni kosmicznej i ciemnych planet. Mieli tutaj nawet skuldrumy – tłuste, kuliste kawałki tkanki tłuszczowej, będące śmiertelnymi wrogami plutoniańskich jaszczurokotów. Mieli włókniste bakterie spiralne, nękające zarazami wenusjańskie pożeracze skał, wywołujące u nich szaleństwo. Mieli całe mnóstwo innych organizmów chorobotwórczych i pasożytniczych – kulistych, rurowatych,

[1] Fava kopnęła właśnie jedno z tych czerwonych zakończeń nerwowych, co spowodowało pochwycenie jej przez mackę (przyp. red.)

[2] Heteraina – środek narkotyczny silnie trujący dla ludzi, poza niesamowicie małymi dawkami. Destylat aerozolu paraliżującego wenusjańskiego gigantycznego boa. Totronol – ziemski narkotyk, który całkowicie niszczy nerwy motoryczne kolumny rdzenia, powodując trwały i szybko kończący się śmiercią paraliż (przyp. red.)

dyskokształtnych; niektóre ze skrzydełkami, inne z rzęskami, a jeszcze inne z płetwami. Każdy z nich oznaczał pewną śmierć, dla jakiegoś innego gatunku istot żywych.

— Proszę — powiedział Berol do Favy, wręczając jej tacę pełną wyrwanych zwojów nerwów i zielonkawych włókien mózgowych. — Sprawdź, czy któreś z tych bakterii nie będą namnażać się na tym materiale. Ja zajmę się tym pod kątem krwi. Pośpieszmy się!

Fava zamrugała oczyma w rozbawionej konsternacji. Berol nigdy wcześniej nie odzywał się do niej w tak szorstki i apodyktyczny sposób. Ale nawet jej się to podobało. Wzięła tacę i wyszła.

Po dziesięciu godzinach znaleźli poszukiwanego pasożyta. Był to cienki, blady robak – illi ulli, robak pasożytujący na wenusjańskich rybach. Kiedy wprowadzony został do zielonej tkanki nerwowej, rozmnażał się ze straszliwą szybkością i w krótce w całości ją pożerał.

— Teraz czas na wielki test — oznajmił Berol, pochylając się nad małym Księżycożercą ze strzykawką wypełnioną płynem w którym pełzały illi ulli.

Szybki ukłucie i było po wszystkim. W ciągu godziny skórzasta kula zmieniła się we zwiotczały zezwłok, z systemem nerwowym wypatroszonym przez żarłoczne robaki. Kiedy umierała, wszystkie jej liczne paszcze otworzyły się szeroko, falując jak skrzela duszącej się na powietrzu ryby.

— Eureka! — wykrzyknął doktor Berol, skacząc wysoko do góry.

Sprite szarpnął się do przodu, a jego silniki zawyły pod wpływem wymuszonego wyładowania. Berol obrócił peryskop do tyłu i popatrzył za rufę. Tysiące skórzastych kul, z których mogły wyrosnąć kolejni Księżycożercy, podskoczyło w ognistym piekle i eksplodowało z milczącym puuf!, kiedy uderzyła w nie pełna energia bijącego w tył strumienia odrzutu rakietowego. Berol zdawał sobie sprawę z tego, że musi być ich jeszcze wiele tysięcy, ale ktoś inny będzie musiał zająć się oczyszczeniem z nich Pierścienia. Jego czekało znacznie większe i bardziej pilne polowanie. Przede wszystkim musi dostać się na Japeta, aby zdobyć pewne niezbędne zasoby.

— Fava, kiedy będę ładował na pokład moje wyposażenie, ty musisz zająć się wzrostem illi ulli. Chcę, żeby były duże – największe jak to tylko możliwe – tak wielkie jak anakondy, jeśli uda ci się tego dokonać. Wymuś na nich mutacje przy pomocy promieni X i karm je korzystając z diety syntetycznej, którą ci przepisałem. Oddzielaj największe i pozwalaj im się rozmnażać. I tak dalej.

Szybko wyciągnął zestaw słuchawkowy i połączył się z gubernatorem Japeta. Zaczął gładko kłamać, w sposób który po prostu zdumiał Favę. Ponieważ Walter Berol wydał gubernatorowi szereg energicznych rozkazów – mówiąc, że działa w imieniu Autarchy i Rady Systemowej! A prawdopodobnie już dawno został pozbawiony władzy, za karę za opuszczenie bez pozwolenia posterunku na Callisto!

— Potrzebuję — ostro oznajmił Berol — dwóch statków transportowych o dużej pojemności, załadowanych i gotowych do odlotu jutro w nocy. Oto lista ładunków, które mają znaleźć się na ich pokładach.

Była to dziwna lista; dwustustopowa wieża wiertnicza, świder Myritza-Jorkina z pełną instalacją i zapasowymi głowicami wiercącymi; sto tysięcy stóp stalowego kabla w szpulach; trzycalowe działo detononowe, z tysiącem sztuk amunicji wybuchowej, ale naboje miały być pozbawione ładunku, za wyjątkiem detonatorów w łuskach; i dwadzieścia pojemników 80% roztworu heterainy. Obok tego sprzętu zażądał najtwardszej i najodważniejszej ekipy wiertniczej z pól gazowych na Io.

— To wszystko — ostro oznajmił Berol, kiedy na statek przyszło potwierdzenie. Wyszarpnął wtyczkę z gniazda i obrócił się do tyłu, by stwierdzić, że Fava ciągle stoi za nim.

— Tak? — rzucił cierpko. — Czemu nie zajmujesz się tymi robakami? Czas ucieka!

— Chciałam ci tylko powiedzieć, Walterze, że według mnie jesteś absolutnie wspaniały. — Po raz pierwszy od wielu miesięcy, Fava porzuciła żartobliwy ton, którego zazwyczaj używała w rozmowach z nim. — Nie miałam pojęcia, że możesz być taki… taki władczy! Nie wiedziałam… no cóż, że potrafisz również i działać… Ja… ja…

Zmarszczka zniecierpliwienia na jego czole, rozpłynęła się. Potem roześmiał się gromko, po raz pierwszy od czasu spotkania z Księżycożercą na Kellog 218.

— Och, już rozumiem. Nawet ty dzielisz to popularne przekonanie, że naukowcy muszą być oderwanymi od życia niepraktycznymi ciepłymi kluchami.

— A… ale — wyjąkała z trudem, — poza laboratorium… zawsze byłeś taki niezdarny… taki nieśmiały…

— Widziałaś mnie jak próbuję zrobić rzeczy, które nie wiedziałem jak robić. I to wszystko. Ale obecnie wróciłem do laboratorium – teraz cały Układ Słoneczny jest moim laboratorium. Wykonuję pracę, na której znam się najlepiej. Różnica polega tylko na skali tego wszystkiego. Mam zamiar wstrzyknąć zwierzęciu zarazki chorobotwórcze. Ponieważ jego skóra ma jakieś pięć czy sześć mil grubości, wymaga to naprawdę gigantycznej igły.

Roześmiał się nieco ponuro.

— **N**o pewnie! — powiedział stary Harvey Linholm, gigantyczny, ponad sześciostopowy majster wiertniczy, którego dostarczono razem ze sprzętem do wykonywania odwiertów. — Chwytamy cały ten cholerny pomysł, Doc, jeśli będzie trzeba, ja i moi ludzie pójdziemy za tobą do piekła i z powrotem. Wiele straciliśmy przez to pożerające księżyce, wyjące stworzenie, i mamy go już zupełnie dość. Poza tym, równie dobrze mogę i zginąć robiąc dziurę w tym cholerstwie. Teraz siedzimy na tyłkach i czekamy na przeniesienie na Jowisza. Nie wyobrażam sobie życia na gigantycznym Jowiszu – pomyśl tylko, ile bym tam ważył!

Berol uśmiechnął się szeroko. Zwrócił się do kapitanów dwu statków dostawczych.

— A więc, panowie, wszystko w porządku. Natychmiast startujcie i lećcie w miejsce, współrzędne którego wam dałem. Dogonię was. Później, będziecie już lecieli za mną.

Wybiegł i wspiął się po rampie stanowiska startowego *Sprite'a*. Kiedy miał już wejść na statek, podbiegła do niego w widoczny sposób poruszona Fava.

— Jesteśmy zgubieni — zaczęła lamentować. — Żandarmi są już w drodze, żeby cię pojmać. Autarcha dowiedział się o twojej uzurpacji władzy i rozkazał sprowadzić cię na Ziemię w kajdanach, na rozprawę.

— No to będą się musieli pośpieszyć — odparł ponuro Berol, otwierając szeroko właz. — Za dziesięć sekund startuję, Autarcha, czy nie Autarcha.

— To jeszcze nie wszystko — kontynuowała Fava przyciszonym głosem. — Bob Tallen dowiedział się gdzie jestem i już leci, żeby mnie stąd zabrać. Dostałam od niego wiadomość zabraniającą mi dalszych kontaktów z tobą.

— Ach — stwierdził Berol. — Być może Bob powie nam, jak to się stało, że Autarcha tak wiele wie o naszej wyprawie.

— Tak — przytaknęła, niemal już szeptem.

Twarz Berola stwardniała.

— Odlatuję stąd – natychmiast! Możesz ze mną lecieć lub nie. Wybieraj sama.

— A więc, pośpieszmy się — odparła Fava wchodząc do środka i zamykając za sobą właz. — Policja i Bob nie mogą być daleko.

*****

Księżycożerca był wielki jak Luna. Mała flotylla statków, prowadzona przez *Sprite'a*, okrążała go, ostrożnie, badając gęsty las wyciągających się ku nim koniuszków macek, obecnie sięgających już w niebo na tysiące stóp. Lecieli coraz niżej, aż w końcu zanurzyli się między rzędy kęp.

— Strzelajcie w te czerwone miejsca — polecił Berol, wskazując ręką na zakończenia nerwowe. — Albo w te zielonkawe żyły.

Obsługa działa detonowego wsunęła nabój – nabój wypełniony oszałamiającym narkotykiem, a nie jak zwykle materiałem wybuchowym. Wycelowali i wystrzelili, a gdy pocisk znalazł drogę do włókna nerwowego potwora, najbliższa grupa macek chlasnęła i skręciła się z furią. Osiem, dziewięć, dziesięć – strzał za strzałem rozdzierał zwoje sterujące wąsami. Po chwili chwytające i chłoszczące macki zwiotczały i opadły bezwładnie na całej dwumilowej długości, na znajdującą się u ich stóp różową równinę.

Statki obleciały potwora dookoła i wróciły w to samo miejsce, aby ostrzelać kolejny zestaw wąsów. Do czasu zanim podeszły do lądowania na zrogowaciałej skórze Księżycożercy, oszołomione macki, na kilka mil wokół nich, leżały w wielkich jak góry stosach.

— Szybko! — rozkazał Berol, w chwili kiedy się zatrzymali. — Wszyscy na zewnątrz! Nalać więcej heterainy w każde zakończenie nerwowe, jakie uda wam się znaleźć. Musimy znieczulić cały ten obszar.

Ludzie rozbiegli się wokół stojących na ziemi statków, z wielkimi bańkami heterainy przypiętymi do pleców, dźgając zaostrzonymi rurkami i wstrzykując ją w trzęsące się zakończenia nerwowe. Po krótkim czasie otaczająca ich część Księżycożercy była tak samo nieruchoma, jak dno krateru na Lunie. Można było dostrzec, że poza znarkotyzowanym obszarem reszta macek poruszała się żywo, skręcając się i wyciągając na wszystkie strony. Berol z niepokojem przyglądał się czarnej pustce, z której przylecieli, ale nie widział nawet śladu płomieni rakiet ścigających go ludzi. A więc, będzie mógł zrealizować swój cel.

Po oddziałach znieczulających, nadeszła czas na wiertaczy. Rozładowali swe statki tam gdzie stały na Księżycożercy, i do czasu nadejścia pierwszego okresu odpoczynku, wieża wiertnicza stała już na miejscu. Dziesięć godzin później, przygotowania do odwiertu zostały zakończone. Potem zaczęły pracować świdry, przegryzając się przez zrogowaciałą skórę potwora, jak stalowe wiertła przez stwardniały ze starości ser.

Od czasu do czasu Fava i jej steward obchodzili zakończenia nerwowe, robiąc w nie świeże zastrzyki śmiertelnego narkotyku. Była to kwestia o najwyższym znaczeniu, aby podczas ich pracy utrzymywać potwora w stanie otępienia i spokoju. Najmniejsze jego drgnięcie miałoby taki sam skutek co niszczące trzęsienie ziemi. Mogliby stracić nie tylko głowice wierteł, ale i całą wieżę wiertniczą. A gdzieś w pobliżu musi czaić się jedna z tych pomocniczych paszcz, gotowa w jednej chwili pochłonąć ich wszystkich.

Osiągnęli głębokość dokładnie siedmiu mil, kiedy siwy Harvey Linholm oznajmił, że jego odwiert przeszedł na wylot. Z szybu wydobywała się kleista, lepka purpurowa krew, przelewająca się leniwie przez brzegi otworu. Oznaczało to, że przebili się przez twardą okrywę skóry i dostali się do bardziej czułych tkanek znajdujących się pod nią.

— Odpompowujcie to i załóżcie szalunek szybu — polecił Berol i poszedł zobaczyć, co słychać z jego robakami.

Pod wpływem intensywnego żywienia zastosowanego przez Favę, zmieniły się one obecnie w monstrualne węże, dziesięciostopowej, a nawet większej długości. Były bardziej płodne i żarłoczne, niż kiedykolwiek wcześniej. Dobór i superszybka ewolucja dokonały cudów. Były to nadal niezbyt urodziwe robaki – cienkie, wijące się stworzenia z rozwidlającymi się ogonami i przezroczystą skórą, ale miały nienasycony apetyt i rozmnażały się w zdumiewającym tempie. Walter Berol był pewien, że będą działały, tak jak tego od nich oczekuje.

Berol poszedł potem pod rusztowanie wieży i popatrzył w lśniący otwór szybu. Po jednej stronie stało czternaście skrzyń z wybranymi illi ulli, oraz przenośny przecinak - miotacz płomieni i plecak-pojemnik z heterainą, wraz z rurkami pozwalającymi wstrzykiwać ją pod skórę stworzenia. Robaki były głodne, jak zwykle, wiły się i zjadliwie syczały, okazując swoją irytację z powodu zamknięcia ich w długich, cylindrycznych koszach. Berol

założył pojemnik z heterainą i wziął miotacz płomieni, a następnie wpiął się w uchwyt liny, która umożliwi mu zjazd w głąb szybu.

Przebiegł przez niego spazm obrzydzenia i strachu. Na chwilę zamknął oczy z czystej grozy. Trzydzieści siedem tysięcy stóp w głąb tkanki tego potwora – i to przez ciasną czterdziestocalową dziurę! Cała pewność siebie, która podtrzymywała go do tej pory, teraz opuściła biologa. Pojawiła się groźba, że ogarnie go ponownie jego dawna nieśmiałość, a odwaga i zdecydowanie bezpowrotnie zniknie. Czuł się naprawdę okropnie.

W tej krótkiej chwili, Berol nie myślał o Księżycożercy, jako o zwykłym okazie laboratoryjnym, chociaż kolosalnej wielkości, ale raczej o żywym przeciwniku. Miał teraz zrobić to, co czyniły przed nim niezliczone generacje mężczyzn – przystąpić do śmiertelnej walki wręcz z bezlitosnym wrogiem!

Niejasno zdawał sobie sprawę, że Linholm patrzy na niego, czekając na sygnał aby rozpocząć zjazd. A za milczącą grupą wiertaczy stała niewielka postać w hełmie – Fava. Ona także wpatrywała się w niego. A potem, jakby w jakiejś ogromnej wizji, Berolowi przed oczyma stanęły miliony bezradnych ludzi, których istnienie zawisło na włosku jego osobistej odwagi. Zaś Bob Tallen był w drodze, aby go powstrzymać.

— Zacznijcie mnie opuszczać — zarządził Berol, mając tylko nadzieję, że głos nie zdradza zamieszania panującego jego w duszy.

Kiedy szybko zaczął pokonywać kolejne sążnie głębokości, błyszcząca neochromowa osłona szybu, wkrótce stała się czarna jak noc. Zanurzał się coraz głębiej i głębiej. Potem, po zadawałoby się całych stuleciach, tempo jego zjazdu zaczęło spadać i wiedział, że musi zbliżać się do dna. Przestał czuć śliskość metalowych ścian i zdał sobie sprawę, że wisi w jakiejś podziemnej pieczarze. Następnym uczuciem było zapadanie się po kolana w szlamowate błoto, tylko że błoto to było ciepłe i czepiało się jak żywa tkanka.

Berol włączył przyciskiem lampę na kasku i rozejrzał się dookoła. Znajdował się w ogromnej purpurowej jaskini, wyłożonej mulistą, ociekającą tkanką, zaś posplatane purpurowe rury mówiły mu, że spogląda na ogromne naczynia włoskowate. Wyżej, w kącie, widać było bulwiasty fragment zielonej papki – tkanki nerwowej stworzenia – bez wątpienia jakiś pomniejszy zwój, sterujący działaniem kępy wąsów, znajdującej się bezpośrednio nad jego głową.

Berol wyswobodził się i odesłał wyciąg z powrotem na górę. Teraz mieli mu spuścić kosze z illi ulli. Czekając na ich zjazd, zaczął rozglądać się po otaczającym go śmierdzącym błocie, rozcinając swoim przecinakiem włókna nerwowe i wstrzykując w nie po kilka uncji heterainy. Do czasu zjazdu robaków, miał już przygotowane otwory do wpuszczenia ich w system nerwowy potwora.

Odczepił pierwszy z koszy drżącymi rękoma, ale uspokoił się myślą, że jest teraz w kulminacyjnym momencie wielkiego eksperymentu. Kilka kolejnych kroków i będzie już wiedział, czy zakończył się on sukcesem. Zaszedł za daleko, aby teraz okazywać słabość i spróbował zatrzasnąć swoją wyobraźnię, podsuwającą mu nieustannie obraz siedmiu mil twardej tkanki zwierzęcia, oddzielających go od innych istot jego gatunku.

Blade robaki zaczęły żwawo zwijać się w mule, zaraz jak tylko Berol je wypuścił. Instynkt zdawał się kierować nimi nieomylnie, ponieważ ruszyły prosto do najbliższych włókien nerwowych. Berol przyglądał się, jak ich paskudnie wyglądające łby zanurzyły się w zrobionych przez niego rozcięciach. Wkrótce rozwidlone ogony plasnęły po raz ostatni i robaki wkręciły się do środka, znikając z pola widzenia. Potem słyszał już tylko straszliwe gulgotanie, jakby w zieloną materię wgryzły się na wpół zagłodzone gady.

Wkrótce na dole znalazł się dziesiąty kosz. Po jego rozładowaniu Berol poczuł, że jaskinia chwieje się złowieszczo. Oznaczało to, że pierwsze partie węży-robaków przeniknęły we włóknach nerwowych, poza znieczulony obszar i Księżycożerca zaczyna odczuwać ból. Berol zdawał sobie sprawę z tego, że należy oczekiwać kolejnych takich potężnych wstrząsów i miał tylko nadzieję, że jaskinia się nie zawali, zanim nie wypuści wszystkich swoich węży-robaków. Przy takiej szybkości ich rozprzestrzeniania się, Berol był pewien, że ma ich wystarczająco dużo do swoich celów.

Zmęczony wrócił do miejsca pod szybem. Wkrótce powinien zjechać kosz numer jedenaście. Ale w otworze nie pojawił się kolejny kosz. Była to postać w skafandrze kosmicznym – drobna postać, która w pośpiechu spadła na podłoże i przez chwilę wygrzebywała się ze szlamu zwierzęcej tkanki.

— Fava! To ty! — zawołał Berol.

— Pośpiesz się… och, pośpiesz się! — krzyknęła dziewczyna. — Wracaj na górę, dopóki jeszcze jest czas! Bob Tallen przyleciał – ląduje niedaleko nas…

Podłoże pod nimi zatrzęsło się potężnie, rozrzucając ich w różne strony. Lampa Berola zgasła i minęło kilka sekund zanim zdołał zapalić ją ponownie. Kiedy mu się to w końcu udało, zobaczył, że całe to miejsce zostało ściśnięte do jednej trzeciej swych poprzednich rozmiarów, a jego kształt uległ zupełnej zmianie.

Spojrzał w górę, w miejsce w którym znajdował się otwór szybu, ale zniknął on całkowicie. Na zewnątrz sterczały tylko dwa odcinki szalunku z neochromu, pogięte i poskręcane, wręcz nie do rozpoznania. Księżycożerca doznał gwałtownych konwulsji, a dwójka ludzi w jego wnętrzu znalazła się w pułapce!

Berol z trudem przedostał się do Favy, uchylając się przed skręcającymi się naczyniami włoskowatymi i przez cały czas przesuwając się na czworaka. Fava wysapała:

— On… Bob… wyrąbuje sobie drogę Q-promieniami i działami ogniowymi… Spalił te wąsy na północ od nas…

— Ten nieudolny głupiec! — zawołał Berol. — To jedyna rzecz, której nie wolno teraz zrobić! Jeśli na tym etapie to zwierzę zostanie pobudzone, jesteśmy absolutnie zgubieni!

Wyglądało, że faktycznie tak jest, ponieważ jeden przerażający wstrząs następował zaraz po drugim. Dwukrotnie Berol został na wpół pogrzebany w ohydnej, półpłynnej tkance, i dwukrotnie znalazł z powrotem Favę i przyciskał ją do piersi. W końcu drgania i wstrząsy zaczęły słabnąć; wreszcie zupełnie ustały.

Wydawało się, że to próżna nadzieja, ale Berol pomyślał, że co mu szkodzi spróbować. Nacisnął przycisk swojego telefonu i monotonnie zaczął wywoływać Linholma na powierzchni. Istniała niewielka szansa, że fale urządzenia przebiją się przez grube sklepienie skóry potwora, znajdujące się ponad nimi.

Po chwili Berol usłyszał jakiś głos, a nieco później rozmawiał już z Linholmem.

— Sprawy wyglądają raczej źle, doc — powiedział mu Linholm. — Nie mogę ci pomóc – a przynajmniej nie jeszcze przez jakiś dzień. Wieża się przewróciła… To przez trzęsienie ziemi… Czy dacie radę wytrzymać dopóki ponownie nie postawię wieży i nie wywiercę nowej dziury?

Berol jęknął. Bob Tallen zwalił im na głowy prawdziwe piekło.

— A co z krążownikiem Tallena? — z niepokojem dopytywał się Berol.

— Nie ma go — nadeszła odpowiedź, tak słaba, że ledwie ją słyszał.

— Odleciał?

— Nie. Zatonął. Wylądował jakieś tysiąc jardów na zachód od nas, buchając ogniem. Cała masa tych mackowatych rzeczy owinęła się wokół nich i po kilku chwilach… statku nie było. Zatonął ogonem w dół w potworze.

Berol wyłączył telefon i popatrzył na Favę. Teraz znał już przyczynę tych gwałtownych wstrząsów. Był nią atak Boba Tallena i reakcja potwora na niego. Ostrzał przez Tallena krawędzi znarkotyzowanego obszaru obudził bestię i odparła ona ten atak w zwykły dla siebie sposób. Koniec był taki sam, jak zawsze – statek Tallena został pochłonięty.

Biolog siedział przez chwilę oszołomiony, ledwie zdając sobie sprawę z tego, że Fava leży koło niego, przytulając się. W głowie kotłowała mu się dziwna mieszanina satysfakcji i desperacji. Zaraził Księżycożercę – po jakimś czasie potwór umrze. Czuł pewność, co do tego. Ale on i Fava znaleźli się w pułapce i przy potężnych konwulsjach, które z pewnością będą towarzyszyć agonii potwora, oni również zginą. Nie chodziło mu tak bardzo o siebie samego. Ale Fava…

Potem pomyślał o Bobie Tallenie i o jego pogrzebanym *Syriuszu*. To był kolejny przykład dramatycznej ironii. W zamierzeniu Tallen chciał ich ratować, a sprowadził na nich śmierć – i skazał na nią również siebie. Teraz jego statek leżał jakieś tysiąc jardów stąd, w rozpuszczających wszystko kwasach jednego z pomniejszych żołądków potwora…

Walter Berol podskoczył nagle, jak dźgnięty nożem. We wnętrzu *Syriusza* mogło być bezpiecznie! Był to wyścig z czasem. Czy Księżycożerca jest w stanie strawić statek wojenny szybciej niż sam przegra walkę ze śmiercią? Berol podniósł się i pociągnął Favę do góry.

— Chodź — powiedział i poprowadził dziewczynę do zachodniej ściany ich zdeformowanej pieczary.

Przekazał jej sprzęt do wstrzykiwania heterainy, a sam zajął się przecinarką. W kilku urywanych zdaniach wyjaśnił jej, co planuje zrobić. Jego słowa zdawały się wlewać w nią nowe życie, chociaż oboje wiedzieli, że szanse odnalezienia krążownika są bardzo niewielkie. Wewnątrz stworzenia emitującego nieregularne fale magnetyczne, kompasy były bezużyteczne, a wszędzie wokół niech widać było tylko splątaną dżunglę skłębionych włoskowatych naczyń krwionośnych i przewodów nerwowych. Dwie ofiary łatwo mogły się zgubić już po pierwszych stu stopach.

Oni jednak brnęli przed siebie. Musieli pokonać pięćset stóp, zanim dotarli do przewodu nerwowego, w którym pozostała choćby odrobina zielonej substancji. Illi ulli dobrze wykonały swoją robotę, ponieważ przez następne parę setek jardów widzieli robaki-węże matki, którym towarzyszyły duże grupy młodych potomków. Nie zmieniło się to nawet wtedy, gdy Fava musiała zacząć używać zastrzyków z heterainy do paraliżowania tkanek znajdujących się przed nimi.

Berol z zawziętością wypalał lub wycinał bariery, na które napotykali. Dwukrotnie musiał się nieco cofnąć, żeby sprawdzić ich położenie. Dobrze, że to zrobił, ponieważ w obydwu przypadkach odkrył, że on i Fava mieli tendencję do zbaczania na północ. Poza wyrąbywaniem sobie drogi, starał się o niczym nie myśleć. Gdyby sobie na to pozwolił, szybko wpędziłby się w szaleństwo, jako że naprawdę mieli nikłe podstawy do nadziei.

V
Mózg przeciw sile

W końcu dotarli do twardej ściany żołądka, i przebicie się przez nią kosztowało ostatnie ergi energii wydobyte z miotacza płomieni. Berol rzucił go potem w błoto i szarpnięciem odchylił płaty tkanki, aby wypuścić ze środka trochę dymiących kwasów. Pomógł Favie przejść przez dziurę i zanurzyli się w żołądek, wdzięczni za swoje kwasoodporne skafandry.

— Za późno — ponuro oznajmił Berol, kiedy przyjrzał się kadłubowi, który kiedyś był świetnym krążownikiem *Syriusz*. Jego zewnętrzna powłoka zniknęła, pozostało z niej tylko kilka sterczących ram z dziobatymi i głęboko powyżeranymi płytami, które kruszyły się przy samym dotknięciu. Skorodowane pokłady wisiały luźno, jak mokry karton, ociekając szlamem. Wszystko co pozostało ze statku, to opancerzony środkowy przedział, zawierający żyroskopy i sterówkę.

Jednak tak dobrze było zobaczyć tę rzecz stworzoną przez człowieka, chociaż zniszczoną i rozpuszczoną przez kwasy, tak że wyglądała ona jakby z jakiegoś horroru, że Berola i Favę instynktownie do niej ciągnęło.

Biolog pomógł dziewczynie wspiąć się po zniszczonych pokładach i przebił się przez szlam i muł, który blokował drogę. Zauważył, że świeży przestał napływać i przypisał to paraliżowi całego regionu ciała potwora, wywołanemu przez robaki.

Opancerzony przedział wydawał się być szczelny, więc Berol ostrożnie oskrobał jeden z włazów, dopóki nie odsłonił gołego metalu. Potem zastukał w niego trzonkiem noża.

Po pewnym czasie ze środka odpowiedziano pukaniem. Po chwili właz został ostrożnie otworzony i wyjrzał przez niego ubrany w skafander oficer. Musiał to być dla niego szok, kiedy zobaczył, że cały statek poza środkowym przedziałem, niemal zniknął, a w jego miejscu pozostała mglista ciemność, rozświetlana tylko blaskiem lampy na hełmie jednej ze stojących przed nim postaci w skafandrach. Przepuścił ich i starannie zamknął za nimi właz.

Bob Tallen stał na środku sterówki, z wyrazem głębokiego zatroskania na twarzy. Ale kiedy zobaczył Favę, na jego twarzy pojawił się uśmiech, chociaż widać było, że wymuszony.

— Dzięki Bogu, znaleźliśmy was! — zawołał, podchodząc do niej, jakby chcąc ją wziąć w ramiona.

— Ty znalazłeś nas? — Fava roześmiała się wesoło. — Co ty powiesz, ty wielki, heroiczny niezdaro! Gdybyś tylko wiedział, przez co musieliśmy przejść my, żeby znaleźć ciebie! Tylko po to, by ci powiedzieć, żebyś siedział na tyłku i wszystko będzie dobrze!

Szczęka Tallena opadła w szczerym zdumieniu. Po chwili opanował się.

— Biedny miś – rozumiem. Ale przynajmniej teraz jesteś bezpieczna…

— Nie „misiuj" mi tu proszę — odparła dziewczyna. — Mam lepiej poukładane w głowie, niż kiedykolwiek wcześniej. I potrafię rozpoznać czyjeś zdolności, kiedy je widzę – przynajmniej teraz! Dobrze sobie radziliśmy, kiedy wpadłeś tu jak słoń w skład porcelany i wszystko naraziłeś tym swoim głupim wtrącaniem.

— Zakaziliśmy tego potwora pewnymi pasożytami, które sami znaleźliśmy, i teraz on umiera. Za jakąś godzinę obróci się brzuchem do góry i wypuści nas z powrotem na powierzchnię – gdzie już dawno byśmy byli, gdyby się nie wtrącił!

Bob Tallen był w stanie tylko gapić się na nią w milczeniu, nie wiedząc jak rozumieć jej nagły napad furii.

— I pozwól mi powiedzieć ci jeszcze jedną rzecz, Robercie M. Tallen! Domagam się, żebyś natychmiast wracał na Callisto i nie myśl sobie, że wrócę tam z tobą! A w ogóle, kto ci powiedział, że ktokolwiek tutaj miał zamiar cię poślubić?

Dokładnie w tej chwili gwałtowny spazm zatrząsł resztkami okrętu, aż każdy jego element głośno zagrzechotał. Nastąpiła potem sekwencja kilku kolejnych szybkich wstrząsów i ludzie musieli czegoś się złapać, żeby utrzymać się na nogach.

— Nasz przyjaciel Księżycożerca dostał mdłości — uprzejmie zauważył Berol. — Przygotować się na szybką podróż do góry!

Następne piętnaście sekund, był to kalejdoskop szybkich, niewyraźnych wydarzeń. Jądro rozpuszczonego przez kwasy statku musiało się obrócić dookoła pięć czy sześć razy, zanim w końcu nie spoczęło nieruchomo. Było to doświadczenie, którego żaden z obecnych nie chciałby przechodzić ponownie.

Potem Berol śmiało otworzył właz i wyjrzeli na zewnątrz, na fantastyczny widok, jakby po zażyciu troolum[1]. Na ciele Księżycożercy wszędzie otworzyły się ogromne jamy, z których ohydnymi bąblami wypływała gęsta purpurowa ciecz. Wąsy załamały się i opadły. Powierzchnia potwora falowała jak smagany przez tajfun ocean. Księżycożerca umierał. Ćwierć mili dalej widać było *Sprite'a* i dwa towarzyszące mu statki zaopatrzeniowe. Leżały na boku, ale poza tym były nietknięte.

— Chodźmy, Walterze — powiedziała Fava. — Teraz, kiedy Bob został uratowany, możemy dokończyć to, co zaczęliśmy.

— Ju-hu! — Wyszczerzył zęby w uśmiechu Berol, wziął dziewczynę na ręce i ruszył przez poruszającą się równinę.

— Tylko na niego popatrzcie — wymamrotał z niesmakiem Tallen. — Pokazuje jaki jest silny! Niektórzy ludzie, po prostu już są tacy zarozumiali!

KONIEC

[1] Troolum – substancja uzależniająca, znajdująca się w zielu troolum, marsjańskiej roślinie, działająca narkotycznie na mózg. Troolum wywołuje dzikie, niemożliwe, fantastyczne i niewiarygodne wizje, w które jego ofiary wierzą tak, jakby były one rzeczywistością (przyp. red.).